
REGAŁ Z KSIĄŻKAMI

- **Kazimierz Sobolewski, *Moja droga do Polski*, Seria „Biblioteka Tradycji Sandomierskiej”, nr 7, Sandomierz 2011, s. 248, il. 110.**

Do zbioru książkowych edycji pamiętnikarskich o tematyce zesłańczej doszła ciekawa pozycja, wydana w nadwiślańskim Sandomierzu, na pograniczu wschodniego terytorium małopolsko-podkarpackiego. Tamtejsze, skądinąd bardzo interesujące wydawnictwo ambitnych, wręcz naukowych książek – ARMORYKA – opublikowało wojenny pamiętnik znanego sandomierskiego lekarza, śp. Kazimierza Sobolewskiego (1919-1968). Trzeba tu dodać: lekarza bardzo zasłużonego, a zarazem zesłańczego poety (o czym nie wszyscy dotychczas wiedzieli). Przygotowanie pamiętnika do wydania to praca członków rodziny Kazimierza – Janusza i Piotra Sobolewskich. Oni to dostarczyli dodatkowych informacji biograficznych o autorze i całym zaangażowanym patriotycznie lekarsko-wojskowym rodzie Sobolewskich z Sandomierza. Lekarzem wojskowym, przedwojennym działaczem ruchu narodowego i wojennym wydawcą podziemnej gazety był ojciec Kazimierza, doktor Wincenty, major WP. Młodszy brat Kazimierza Janusz, student medycyny na tajnych „kompletach” Uniwersytetu Warszawskiego i żołnierz Polski Podziemnej, zginął w Powstaniu Warszawskim. Studia medyczne Kazimierza, jego działalność w ruchu narodowym, wojenne funkcje polityczne, działalność wydawnicza w prasie podziemnej – sprawiają więc wrażenie kontynuacji rodzinnej tradycji.

Nawet pobieżny rzut oka na bardzo liczne i różnorodne zajęcia, którym się oddawał Kazimierz podczas wojny i zesłania, rysują przed naszymi oczyma obraz człowieka niesamowitej wręcz energii, tytana pracy i żelaznej woli – a przy tym człowieka z szerszą wizją świata, i tego, co robi, zdolnego do samodzielnej refleksji i do ważnych etycznych wyborów. Kontynuacja studiów w trudnych warunkach powrześniowego IV rozbioru Polski (1939), w opanowanym przez Sowietów Lwowie, połączona z pracą w Instytucie Tyfusowym, następnie zaś praca w ubezpieczalni społecznej i klinice uniwersyteckiej, w końcu praca lekarska w sowieckim łagrze – to jeden, zawodowy, aspekt jego ówczesnego życia. Wydawanie konspiracyjnych gazet w Sandomierzu i we Lwowie, wojskowa przynależność do Armii Krajowej, działanie w podziemnych strukturach politycznych Stronnictwa Narodowego i we lwowskiej Delegaturze Rządu na Kraj – to druga, tajna twarz doktora Kazimierza, która doprowadziła go do uwięzienia, sowieckiego sądu i osadzenia w jednym z łagrów. Do tego trzeba dodać epizody przechodzenia „zielonej granicy” między zaborami hitlerowskim i stalinowskim, życie po obydwu stronach okupacyjnego kordonu, ukrywanie się i wędrówki ściganego.

„Zasypany” i przejściowo uwięziony przez sowietów za ukrywanie woj- skowej broni, następnie zagrożony ponownym aresztowaniem przez lwowskie NKWD, ucieka na obszar okupacji niemieckiej, w rodzinne strony – do Sandomierza i okolic, gdzie oczywiście aktywnie działa w konspiracji. W 1942 roku, zagrożony z kolei przez Gestapo, powraca do Lwowa, kontynuuje studia, pracuje i nieustannie konspiruje. Kres temu aktywnemu życiu konspiratora kładzie ponowne wkroczenie Armii Czerwonej, aresztowanie wraz z innymi członkami Delegatury Rządu, wyrok śmierci zamieniony na 18 lat łagru, wywózka do północnego „archipelagu Gułag” i docelowe osadzenie w łagrze w Incie (Autonomiczna Republika Komi).

Myliłby się jednak ten, kto sądziłby, że to kres aktywności tego niestrudzonego człowieka. Sowietkie władze obozowe szybko poznały się na jego wartości jako wykwalifikowanego, zdolnego lekarza i doceniły go w swoisty sposób, kierując do pracy w tzw. miasteczku sanitarnym (Sangorodok). Zawdzięcza to lękowi łagrowych „wierchuszek” przed ciągle zagrażającymi epidemiami. Ponownie więc miał wiele rozmaitych zajęć: lekarz w oddziale zakaźnym i położniczym, anestezjolog przy operacjach chirurgicznych, potem ordynator oddziałów wewnętrznych i ocznego. Do tego organizator i szef punktu krwiodawstwa i laboratorium analitycznego, kierownik szkolenia laborantów. Uff, należy tylko podziwiać niespożyte siły tego prawdziwego „człowieka-orkiestry” i zastanawiać się, skąd je brał. Bo dochodziło tu jeszcze aktywne pomaganie współbraciom – „zekom”, medyczne badania naukowe oraz pisanie wierszy i inna działalność kulturalna.

Ten bogaty wojenno-łagrowy życiorys lekarza-konspiratora, sylwetki renesansowo bogatej i wszechstronnej – mógłby stać się kanwą awanturniczej dumasowskiej powieści i sensacyjnego filmu wojennego w stylu „Komandosów z Navarony”, albo, jeszcze bardziej, porywającego telewizyjnego serialu. Gdy jednak przystąpimy do lektury tego pamiętnika, możemy przeżyć pewien zawód. Te wszystkie wydarzenia, które ktoś inny ubrałby w szaty sensacji – Autor opisuje w skromny, nieefektywny sposób, jakby to były wydarzenia codziennego, normalnego ludzkiego życia, zaś element ryzyka, zagrożenia – czymś oczywistym.

Trzeba jednak pamiętać, że są to relacje przefiltrowane przez odzierającą z emocji późniejszą, refleksyjną pamięć Autora, która przechowała je pieczołowicie przez cały okres wojenny aż do zwolnienia z łagru już w nowej chruszczowowskiej rzeczywistości „odwilży” i powrotu do rodzinnego Sandomierza w 1955 roku. Po tej dacie musiały one jeszcze odczekać swoje zanim, uporządkowane i uzupełnione, przybrały postać gotową, jednak jeszcze nie do druku, czas druku nadszedł dopiero po transformacji ustrojowej, w wiele lat po śmierci Autora. To z kolei dokonało się za sprawą głównie syna Piotra (też sandomierskiego lekarza), redaktora tej spuścizny, „akuszerą” i do pewnego stopnia współautora kształtu ostatecznego. Można powiedzieć, że to syn właśnie – kontynuator, kolejna sylwetka rodowej sagi – „przeciął pępowinę” i umożliwił temu dziełu samodzielne istnienie w świecie literatury.

Nie są to więc już żywe strzępki tamtego wojennego „życia na gorąco”, za takie mogą uchodzić jedynie załączone do książki listy, które też z oczywistych względów nie mogły być wtedy pisane tak, jakby się chciało i jakby się to robiło w czasach pokoju, w wolnym państwie. Miejsce początkowych silnych

emocji – dostrzegamy ich ślady w narracji – zajmuje tutaj różnego typu refleksja – psychologiczna, polityczna – połączona ze świetnym, literacko-reporterskim zmysłem obserwacji, pozwalającym na utrwalanie przemijających momentów, kontrastowych migawek, pejzaży – o niezwykle sugestywnej sile wyrazu i wręcz symbolicznym wymiarze – szczególnie w chwilach, gdy Autor, jak rasowy pisarz-epik, pozwala poczuć „gorący oddech historii”. Jako literat i profesjonalny historyk literatury nie mogę nie zauważyć tych ukrytych literackich walorów pamiętnika Sobolewskiego.

Jeżeli zastosować do dzieła Kazimierza Sobolewskiego narzędzia badawcze teorii literatury, musimy powiedzieć, że cechuje się ono budową „otwartą”, jest to tzw. forma atektoniczna. Przypomina to nieco eksperymenty formalne Adama Mickiewicza z III części „Dziadów”, który swój obraz carskiej Rosji zawarł również w zestawie rozsypanych i luźno powiązanych form literackich („Dziady”, cz. III). Tą drogą Mickiewicz przetworzył swoje autobiograficzne wspomnienia w świadome dzieło literackie. Sobolewski nigdy nie wyrażał takich ambicji, ale metoda jest podobna, przez co jego pamiętnik sięga rangi niepośledniego dzieła literackiego – należącego do tego szczególnego typu literatury, zwanego „literaturą faktu”. Mamy więc tu pisany prozą pamiętnik zestawiony z wierszami, uporządkowane i zdyscyplinowane słowo autorskiej narracji zestawione z surowymi dokumentami i pisanymi *ad hoc* listami. Fragmenty czysto wspomnieniowe, pisane z pewnej perspektywy czasowej, przefiltrowane przez refleksję – z tekstami o charakterze reportażowym (końcowe opisy powrotu do Kraju). Epizody bardzo kameralne, o wymiarze teatralnym (sceny z cel więziennych) współgrają z epicką panoramą wydarzeń (migawki z pierwszych tygodni wojny we Lwowie). Ten zmysł epicki, przenoszący indywidualne doświadczenia człowieka w szerszą perspektywę historii, wyraża się bardzo wyważonym stylem, który unika zbyt mocnych słów, cechuje się rzeczowością, dyskrecją i jakby nawet pewną wstydlivością. I to nadaje tym pamiętnikom niezwykłą sugestywność. Narracja odautorska, momentami – pod wpływem okoliczności – szorstka i „nieoheblowana”, bywa tu zadziwiająco wysokiej klasy, przypomina stylistycznie oszczędne, lapidarne pamiętniki wojenne Juliusza Cezara. Dostrzegamy w niej od czasu do czasu wyraźny nerw dramaturgiczny, a także zmysł paradoksu, kontrastu, co uwidacznia się w scenach jak gdyby „filmowych”.

Jako przykład podam migawkę z finału tej wojennej odysei. Autor, już zwolniony z obozu były „zakliuczonyj”, żywy człowiek, który przetrwał – na tle potężnej bryły milczącego i martwego mauzoleum ze zwłokami Stalina, snujący podsumowującą refleksję – „Jak sprawiedliwy jest Bóg”. Znakomita literacko pointa, którą dopisało życie. Innym zabiegiem rasowo literackim jest tonacja końcowej relacji – drogi powrotnej – operująca efektem wręcz symbolicznej ciszy. Cisza ta, cisza chruszczowowskiej „odwilży”, cisza ulgi śmiertelnie zmęczonych ludzi, cisza cmentarna i żałobna – to zupełnie inna cisza niż złowroga stalinowska cisza terroru, współbrzmiąca z oficjalnym, rytualnym hałasem zagłuszającym krzyki ofiar. Nasuwa się w tym miejscu wyraźna analogia z tytułem obrachunkowej powieści rosyjskiego pisarza Jurija Bondariewa – „Cisza” (1962.) Ta pozbawiona swojego najbardziej odrażającego, niewolniczego elementu „Sowdepia” chruszczowowskiej odwilży jest w tej finalnej relacji stale skontrastowana z przeraźliwą Sowdepnią stalinowską.

Możemy przy uważniejszym czytaniu dostrzec tutaj, że zarówno Autor jak i jego syn-redaktor to przecież typowe dusze polskie, wykarmione specyficznie polską, literacką i malarską tradycją obrazów Zesłania i Sybiru – tej mickiewiczowskiej z fragmentów III części „Dziadów”, tej Juliusza Słowackiego z „Anhellego” i tej z malarstwa Artura Grottgera. Ten mroczny ton polskiej „drogi przez mękę” od czasu do czasu tutaj pobrzmiewa, ale Autor nie pozwala mu zdominować całej relacji. Jednocześnie możemy dostrzec, że Autor jak gdyby polemizuje z tą anhelliczno-grottgerowską tradycją, przełamuje ją, zastępuje ją nowym cyklem symboliki narodowej. Jakby na przekór tej wpojonej tradycji nieludzkiego, mrocznego pustkowia Autor zaznacza, że nie jest to bynajmniej pustkowie, ale świat zasiedlony żywymi ludźmi, którzy zachowują dobre i złe cechy ludzkie nawet w świecie północnego Gułagu. Zaznacza też, że w gruncie rzeczy jest to ziemia piękna, a ludzie – dobrzy. On sam i jego towarzysze to nie klasyczni męczennicy, bierne ofiary. Wręcz przeciwnie, ci ludzie wepchnięci w nieludzkie warunki chcą żyć, walczą o życie i o stworzenie sobie możliwie najznośniejszych warunków. I nie dotyczy to tylko więźniów, tych na samym dole. Również ci względnie uprzywilejowani, nawet sami dozorczy – też czują się do pewnego stopnia skazanymi ofiarami systemu, co więcej, mają często silną świadomość, że lada dzień sami mogą trafić do łagru w charakterze więźnia, a więc przepaść między nimi i więźniami nie jest aż tak absolutna.

Te zasadniczo złe cechy „tych z góry” – to cechy walczącego o byt zwierzęcia, wyszarpującego pokarm słabszym – bez szczególnego sadyzmu, bez emocjonalnego zaangażowania w programowe szkodzenie więźniom. Ot, posłuszni urzędnicy-wykonawcy, przy okazji często skorumpowani i żerujący na więźniach. Nie dostrzegamy w tym gronie jakichś zacierzwionych fanatyków-ideowców. Widzimy za to zanik zmysłu moralnego, gdy kradzież tego, co się należy innym, wydawała się pewnym ludziom zdrową troską o siebie i swoich (postać lejtenanta Barana). Inną historią są opisane przypadki więźniów kryminalnych, bestialskich w swym okrucieństwie i szerzonym terrorze, ale też zasadniczo po to, aby lepiej przeżyć. Ta hierarchia wzajemnych współzależności, oprawców i ofiar, beznadziejnie uwikłanych w pajęczęć sieci Systemu – to pewna ważna nowość w polskim spojrzeniu na świat Gułagu.

Na tym tle Autor (wraz z towarzyszami łagrowej pracy) jawi się naszym oczom nie jako bezwolny męczennik, przytłoczony rozpaczą i melancholią. Wręcz przeciwnie, nabiera cech dobrego, prometejskiego tytana, niosącego pomoc słabszym – przegranym, cierpiącym i bezsilnym. To człowiek niesłuchanie aktywny, a zarazem niezwykle skromny, któremu duma z własnej siły i „pozytywności” ani na chwilę nie uderza do głowy. To wręcz dobroczynny cywilizator, nie tylko dla więźniów, ale i dla całej okolicy – który dzięki swym kwalifikacjom przemienia dziką, zabita dechami północną głusz w załączkowe ognisko współczesnej higieny i opieki zdrowotnej, cywilizacji i nawet kultury (działalność kulturalna Sobolewskiego z więźniami to osobny rozdział). Przynosi więc tej ziemi bardo realne dobro – i nie płynie ono tylko z wymuszenia przez władze.

Wizja zesłania i obozu traci w ten sposób swoje cechy tragicznego romantyzmu – staje się zasadniczo pozytywistyczna, zawiera też ziarno jakiegoś egzystencjalistycznego optymizmu, nawet wbrew nadziei. Przypomina się Albert Camus i jego „Dżuma”. A także jakże polscy bohaterowie Żeromskiego – doktor Judym i młoda nauczycielka z „Siłaczki”. W najgorszych nawet warunkach ma

u Sobolewskiego zastosowanie trudna, ale i heroiczna etyka ludzkiego zaangażowania, ludzkiej powinności walki o dobro człowieka, mimo wszystko. Takie przesłanie zdaje się nieść ta relacja „aktywnego łagiernictwa” więźnia- lekarza.

To prawda, że dużo tej aktywności – i względnej swobody działania – zawdzięcza swojej wyjątkowej pozycji lekarza w sowieckim systemie łagrowym. Gdyby nie to, jego los łagiernika byłby o wiele bardziej typowy i „klasyczny”, jako bezbronnej ofiary, skazanej na powolne wykończenie się. Jego działalność nie w pełni nadawała się na masowy powielany wzorzec zachowania „zeka”. Dla porównania niewolnik-drwał, podobnie zaangażowany w wyrąb sowieckiego lasu, robiłby wrażenie śmieszne. Różnica polega na tym, że praca łagrowego lekarza miała dwa aspekty – przede wszystkim pracy dla ludzi, zgodnej z lekarskim powołaniem, a dopiero w drugim planie dla zbrodniczego systemu. A więc łagrowa postawa Kazimierza Sobolewskiego, oparta na aktywnej pomocy innym – nadaje się jak najbardziej na wzorzec.

Ta postawa lekarza-humanisty mocno rzutuje na jego wojenny i obozowy stosunek do innych nacji, co może zaskakiwać, jeżeli się zważy, że ruchowi narodowemu (z którym się utożsamiał) gorliwie przyklejano etykietkę radykalnego, wojującego nacjonalizmu, ba! szowinizmu, dyskredytującego inne narody. Sobolewski nie jest bezkrytyczny wobec swoich, ani superkrytyczny wobec obcych. Nie czyni z Polski uwięzionego Chrystusa, niewinnego i doskonałego. Jego wizja historii nie jest idealizacją. Wspomina błędy polityki polskiej na Kresach. Wytyka krótkowzroczność i nieodpowiedzialność polskich władz przedwojennych, z wyrzutem wspomina polskie nieprzygotowanie do wojny. Nie oszczędza rodaków. Podkreśla polską solidarność w obliczu najazdu, wytrwałość, przytomność umysłu, zimną krew i zaradność zwykłych ludzi w obliczu katastrofy, która wydawała się osiągać wymiary Apokalipsy. Wspomina też jednak przypadki donosicielstwa i zdrady, właśnie ze strony niektórych Polaków. Nie demonizuje gorliwszych i mniej gorliwych sojuszników Hitlera – Słowaków i Węgrów. Nie miota klątw, bardzo oszczędnie używa wielkich słów i emocjonalizmów. Gdy pisze o sowieckiej Rosji, nie mówi o ohydnej, „nie-ludzkiej ziemi”, zamieszkałej przez szatany w ludzkiej skórze. Nie ma tu (tak dzisiaj popularnej) stylizacji na Golgotę, nie ma atmosfery Apokalipsy i piekła.

Co do Ukraińców, ma duże zrozumienie dla ich desperacji, podsyconej także przez polskie błędy polityczne, wspomina Wielki Głód na Ukrainie sowieckiej. Pokazuje uwikłania ludzkie, pokazuje, w jaki sposób z egoizmu, ale i z rozpacz, krzywdy, indoktrynacji, z fałszywie rozumianej wspólnotowości – rodzą się agresja i nienawiść, jak rozpadają się więzi dobrosąsiedzkie, międzyludzkie (Polacy i Ukraińcy). Wspomina także, w epizodach więziennych i obozowych, sympatyczne sylwetki Ukraińców, a także przedstawicieli innych grup etnicznych. Uderza tu jakiś niezadekretowany, spontaniczny, więzienny i obozowy lekarski „internacjonalizm” Autora, jakby niezamierzone odwrócenie oficjalnego internacjonalizmu bolszewików, z ukrytym efektem parodystycznym. Są tu ludzie różnych narodów i w każdym z opisanych znajduje ludzi bardzo dzielnych i dobrych, ale też upodlonych, sprzedających, zezwierzęconych, złych od podszewki. Nie podkreśla jakichś szczególnie złych „narodowych” cech samych Rosjan. Ba, rosyjski lejtenant Sasza wypada bardzo na korzyść w konfrontacji z witającą Autora na granicy polską jednostką wojsk specjalnych.

To ten Rosjanin wybronił przeciw Autora od kolejnej upokarzającej rewizji osobistej, tym razem ze strony rodaków, reprezentujących wytęsknioną Ojczyznę. Odzywa się tutaj rasowo literacka umiejętność dostrzeżenia i wychwycenia ukrytej ironii faktów i zdarzeń – w pojedynczym życiu ludzkim i w dziejach.

Na koniec poświęćmy trochę uwagi literackiej symbolice tytułu tej książki – „Droga do Polski”. Nie bez kozery przywołałem tutaj dla porównania pierwsze wielkie dzieło europejskiej tradycji literackiej „drogi” i „podróży” – „Odyseję” Homera. Analogie pomiędzy pamiętnikiem Sobolewskiego i „Odyseją” są pogłębione przez nieustannie pojawiający się, podskórny motyw osobistego związku kobiety i mężczyzny, skazanych na rozłąkę i nie dającą się spełnić tęsknotę. Już więc przedchrześcijańska grecka Odyseja zawiera w sobie wymiar symboliczny – tułaczka powojenna Odysa po morzach i wyspach, jego niekończący się powrót do Itaki współbrzmi z rozwojem duchowym bohatera, z jego dojrzewaniem do roli głowy rodziny, męża, ojca, gospodarza, króla. Podobnie jest z innym starogreckim mitem, który nie znalazł swojego genialnego Homera – z wędrownką Argonautów po Złote Runo. W odległej starożytności naszego kontynentu motyw drogi sprzął się silnie z motywem rozwoju, dorastania, dojrzewania, kolejnych prób charakteru – z symboliką typu psychologicznego. Chrześcijaństwo tę symbolikę pogłębiło, wzbogacając ją o egzystencjalny wymiar *homo viator*, człowieka – wiecznego pielgrzyma, zdążającego do sakralnego centrum i doznającego oczyszczenia w swojej pielgrzymce.

Można się domyślać, że w wyborze tytułu odezwała się tutaj u Autora swościę polska tradycja mickiewiczowska – wzorzec „Polaka-pielgrzyma”, nasuwający na myśl kodeks honorowy jakiegoś rycerskiego zakonu. Znamy go z III części „Dziadów”, z „Pana Tadeusza”, z „Ksiąg pielgrzymstwa i narodu polskiego”. Ta ponadczasowa wspólnota polskich losów łączy Mickiewicza i polskiego lekarza Kazimierza z XX wieku. Wspólne są tu wątki uwięzienia, skazania, zesłania za to, że jest się Polakiem-patriotą. Zdarzyło się, że niegdysiejszy wchodzący w życie młodzieniec Kazimierz wyjechał w 1939 roku za granicę i po powrocie nie zastał już dawnej Ojczyzny – odeszła, przeorana okupacyjnymi kordonami. Do nowej Ojczyzny – takiej, jaka realnie wtedy mogła zaistnieć po katastrofie – droga była długa i bolesna. Była okresem prób charakteru i postawy moralnej, była okresem rozwoju i sprawdzania jego człowieczeństwa.

Zapewne też Autorowi nasunęła się tutaj mickiewiczowska myśl, że nie wystarczy urodzić się Polakiem, członkiem pewnej wspólnoty etnicznej i językowej, na pewnym terytorium; że słowa „Polak” i „Polska” znaczą coś więcej, mają wymiar symboliczny i wręcz metafizyczny, na ogólnym tle kondycji ludzkiej. Samo bycie Polakiem staje się rodzajem życiowego powołania, jakby wtajemniczenia w swoiste, niezrozumiałe dla obcych, misterium. Do miana Polaka i do Polski trzeba dorosnąć, dojrzeć. Trzeba sobie na to zasłużyć, także przez cierpienie, przez osobiste ofiary. I tutaj polski bohater pozytywistyczny, rodzaj obozowego Judyma – jednoczy się w końcu z typowo polskim bohaterem romantycznym.

Ale to już nie jest żadna literacka sztuczka pamiętnikarza. Taka pointę dopisał jego polski los. I od tej chwili pozostaje mi już tylko zaprosić do lektury.

Miroslaw Grudzień

- **Piotr Cichoracki, *Stołpce-Łowcza-Leśna 1924. II Rzeczpospolita wobec najpoważniejszych incydentów zbrojnych w województwach północno-wschodnich*, Łomianki, s. 340 + 25 fot.**

Zawarcie traktatu pokojowego w Rydze nie doprowadziło niestety do uspokojenia sytuacji na ziemiach wschodnich RP. Jeszcze przez kilka lat rozbrzmiewały tam strzały i ginęli ludzie. Władze sowieckie po przegranej wojnie z Polską zmieniły tylko metody, cel zniszczenie państwa polskiego, pozostał ten sam. Było to tym łatwiejsze, że tereny te w dużej mierze zamieszkane były przez mniejszości narodowe, częstokroć wrogo nastawione wobec państwa polskiego.

Książka wrocławskiego historyka Piotra Cichorackiego, przedstawia trzy najgłośniejsze akty dywersyjne dokonane przez przybyłe z terenu ZSRR oddziały na kresach północno-wschodnich II RP. Jest to swego rodzaju praca pionierska. Przed 1989 rokiem wątek sowieckich akcji dywersyjnych nie był zbyt mocno eksponowany, z oczywistych względów, w ówczesnej literaturze. Dopiero po przemianach politycznych kwestia ta zaistniała szerzej na łamach polskiej historiografii.

Książka została podzielona na cztery rozdziały. W rozdziale pierwszym przedstawiono stan bezpieczeństwa panujący w województwach północno-wschodnich między rokiem 1921, a 1924. Działalność oddziałów dywersyjnych przede wszystkim sowieckich powodowała wzrost napięcia na tych terenach. Nie bez znaczenia były nie najlepsze posunięcia władz państwowych. Od 1921 roku porządku i bezpieczeństwa w powiatach przygranicznych pilnowały kolejno bataliony celne podległe Ministerstwu Skarbu, straż graniczna podległa Ministerstwu Spraw Wewnętrznych, a potem policja państwowa również podlegająca temu resortowi. Sytuacji nie poprawiały też spory kompetencyjne pomiędzy odpowiedzialnymi za stan bezpieczeństwa w strefie przygranicznej formacjami MSW a wojskiem, oraz wzrastające napięcie w stosunkach międzynarodowych. Jak pisze autor, od początku 1924 roku pracujący w Mińsku polscy dyplomaci alarmowali Warszawę o formowaniu na terenie Białoruskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej oddziałów dywersyjnych, przeznaczonych do akcji na ziemiach polskich. Zapowiedzią opisywanych wydarzeń był jak się wydaje napad na Wiszniewo w nocy 18/19 lipca 1924 roku, położone w województwie Nowogródzkim. Jak stwierdza Cichoracki w tym wypadku miano do czynienia z nową jakością. Napastnicy byli dobrze uzbrojeni, zwłaszcza w broń maszynową. Wydarzenie to wywołało wreszcie oczekiwaną reakcję władz w Warszawie, które w związku z coraz bardziej napiętą sytuacją rozszerzyły kompetencje inspektora Armii w Wilnie generała Edwarda Rydza-Śmigłego. Już w kilka godzin później, jak pisze autor, rzeczywistość brutalnie zweryfikowała podjęte środki zaradcze.

W rozdziale II przedstawione zostały wydarzenia związane z atakiem na Stołpce. Został on podzielony, podobnie jak następne, na podrozdziały, w których przedstawiono: sytuację przed atakiem, jego przebieg, pościg i schwytanie niektórych sprawców, wnioski, jakie wyciągnęły władze z przebiegu opisywanych wydarzeń oraz echa jakimi odbiły się one w Polsce jak i w ZSRR. Kontrowersje jak pisze, budzi już sam cel akcji. Czy był to tylko zwykły akt dywer-

sji obliczony na destabilizację sytuacji społeczno-politycznej, czy też coś więcej? Wśród więźniów uwolnionych ze stołpeckiego aresztu było bowiem dwóch wysokich rangą funkcjonariuszy Komunistycznej Partii Zachodniej Białorusi, zarazem delegatów na V kongres Kominternu Józef Łochinowicz i Stefan Mertens. Ta sprawa nie jest do końca jasna. Prawdopodobnie władze polskie nie wiedziały, kim są obaj zatrzymani w strefie nadgranicznej. Dopiero w 1928 roku polski wywiad uzyskał informacje, że jednym z celów akcji było uwolnienie wysokiego rangą działacza komunistycznego wspomnianego Józefa Łochinowicza.

Dużo miejsca poświęcono również akcji pościgowej prowadzonej przez wojsko i policję. Pomimo zaangażowania stosunkowo licznych sił udało się ująć zaledwie kilku podejrzanych, z których przed sądem stanęło ostatecznie trzech, Piotr Joda, Edward Kaczmarczyk i Mikołaj Goraczko. Przebieg napadu został odtworzony głównie dzięki obszernym zeznaniom jakie złożył Piotr Joda. On też został ułaskawiony przez prezydenta Stanisława Wojciechowskiego, a karę śmierci zamieniono mu na karę więzienia. Wobec Goraczki i Kaczmarczyka prezydent nie skorzystał z prawa łaski, obaj zostali skazani na karę śmierci i straceni.

Wydarzenia w Stołpcach zmusiły władze do poważnego potraktowania kwestii bezpieczeństwa. Między innymi na polecenie inspektora armii generała Edwarda Rydza-Śmigłego przesunięto w strefę nadgraniczną dodatkowe formacje kawalerii. Było to niewątpliwie trafne posunięcie. Fatalny stan dróg powodował, że tylko kawaleria mogła w miarę szybko przybyć na miejsce potencjalnego napadu. Autor pisze też, że władze zaczęły zwracać baczniejszą uwagę, na dobór i wyposażenie policjantów kierowanych do służby w województwach północno-wschodnich. Różnorodne działania władz, mające doprowadzić do poprawy sytuacji, przyniosły niestety tylko połowiczne skutki. Choć akcja o takiej skali, jak napad na Stołpce nie miała już miejsca, to do ustabilizowania sytuacji było jeszcze daleko.

Pokazały to dobitnie wydarzenia z dnia 24 września 1924 roku. Wtedy to bowiem grupa dywersyjna dokonała napadu na pociąg pod Łowczą. Dla ówczesnych polskich władz był to policzek, ponieważ w pociągu znajdowało się wielu prominentnych pasażerów m.in. ówczesny wojewoda poleski Medard Downarowicz, biskup Zygmunt Łoziński, czy senator Bolesław Wysłouch. Napastnicy po dokładnym obrabowaniu pociągu i pasażerów rozpoczęli pośpieszny odwrót. Wydarzenie to było tym bardziej kompromitujące, że w składzie pociągu znajdował się wagon z uzbrojonymi policjantami, a wśród pasażerów byli też uzbrojeni żołnierze i oficerowie. Niektórzy z nich próbowali ostrzeliwać napastników, jednak szybko zostali zmuszeni do przerwania ognia.

W wyniku działań pościgowych podjętych przez stronę polską udało się zatrzymać kilka osób. Po żmudnym postępowaniu sądowym większość z nich została skazana na kary więzienia, trzech sprawców otrzymało wyroki śmierci. Wydaje się, że osobą najbardziej poszkodowaną w tych wydarzeniach był wojewoda M. Downarowicz. Kilka dni później został zmuszony do dymisji i już nigdy nie powrócił do pracy w administracji państwowej.

W rezultacie opisywanych wydarzeń, jak informuje autor omawianej tu książki, postanowiono nie tylko dołączać do składów pociągów wagony z uzbrojoną eskortą ale także wzmocnić placówki wywiadowcze i kontrwywiadowcze, ukierunkowując je na zwalczanie działalności dywersyjnej. Ponadto

podjęto decyzję o przyśpieszeniu przejmowania ochrony granicy i strefy przygranicznej przez nowo formowane oddziały Korpusu Ochrony Pogranicza.

Niestety także i te środki nie doprowadziły do przywrócenia porządku. Do kolejnego napadu, jak pisze autor, doszło 3 listopada 1924 roku pod Leśną. Zaatakowano wtedy pociąg relacji Baranowicze-Brześć. Sytuację napastników ułatwił fakt, że w składzie pociągu brak było wagonu z uzbrojoną eskortą. Podobnie jak pod Łowczą napastnicy doszczętnie obrabowali zarówno pociąg, jak i pasażerów. W wyniku działań podjętych przez wojsko i policję zatrzymano kilka osób, rozpoznanych jako uczestnicy napadu. Z tej grupy skazano 8 osób, cztery na karę śmierci, pozostałych na karę dożywotniego więzienia.

Napad na pociąg pod Leśną był, jak pisze autor, jednym z ostatnich tego typu na Kresach. Wzmocnienia praca wywiadu i kontrwywiadu, działania nowopowstałego KOP-u spowodowały znaczący spadek tego typu incydentów. Ważnym jest również fakt, że władze w Moskwie zrezygnowały z prób eksportu rewolucji na zachód, z czym bezpośrednio była związana wzmożona działalność dywersyjna na Kresach Wschodnich. Nie bez znaczenia była także nasilająca się walka o władzę w samym ZSRR oraz narastające kontrowersje pomiędzy sowiecką policją polityczną a wywiadem wojskowym.

Ta niezwykle interesująca książka została oparta w zdecydowanej większości o akta polskiej proweniencji, znajdujące się w archiwach polskich i białoruskich. W dużym stopniu wzbogaca naszą wiedzę na temat wydarzeń, jakie miały miejsce na obszarze kresów północno-wschodnich II RP tuż po zakończeniu wojny polsko-bolszewickiej. Niewątpliwie nie wyczerpuje ona tematu, sam autor zwraca uwagę, że wiele interesujących materiałów może znajdować się w archiwach dawnych sowieckich służb specjalnych, na Białorusi i w Rosji, do których obecnie polscy badacze nie mają niestety dostępu.

Praca została wzbogacona o liczne fotografie, w aneksach autor zamieścił archiwalne dokumenty dotyczące omawianych wydarzeń. Należy mieć nadzieję, że miarę upływu czasu dostęp do archiwów zawierających akta proweniencji radzieckiej zostanie otwarty i wiele przypuszczeń i hipotez postawionych przez autora, doczeka się wreszcie ostatecznego wyjaśnienia.

Tomasz Dudek

- **Krzysztof Walaszczyk, *Środkowy Wschód w latach II wojny światowej. Relacje i działania polskich placówek dyplomatycznych i konsularnych w Iranie, Iraku i Afganistanie*, Wydawnictwo Adam Marszałek, Toruń 2012, s. 494.**

Wybuch II wojny światowej spowodował pojawienie się dużych skupisk uchodźców cywilnych i wojskowych w różnych rejonach świata, nawet takich, o których przeciętny mieszkaniec II RP wiedział bardzo niewiele. Jednym nich był obszar Środkowego Wschodu obejmujący tereny Persji (dzisiejszego Iranu), Iraku i Afganistanu. Także polska dyplomacja w tym czasie nie przejawiała specjalnego zainteresowania tym obszarem. Świadczyć może o tym m.in. fakt, że polskie poselstwo umiejscowione było tylko i wyłącznie w stolicy Persji, a swoim zasięgiem obejmowało również teren Iraku i Afganistanu. Sytuacja

zmieniła się po wybuchu II wojny światowej, kiedy wszystkie trzy kraje, z różnych zresztą względów, zajęły ważne miejsce w polityce polskiego rządu na uchodźstwie.

Prezentowana praca została podzielona na trzy odrębne części, w których autor omawia działalność polskich placówek dyplomatycznych na terenie wymienionych krajów. Najwięcej miejsca poświęcił w swoich rozważaniach sytuacji i działalności polskiej placówki w Teheranie. Po wybuchu wojny, jak pisze, sytuacja polskiej placówki stała się bardzo trudna. Naciski i wzmożona propaganda hitlerowska i sowiecka powodowały znaczne utrudnienia w jego działalności. Paradoksalnie, rozpoczęcia wojny niemiecko-sowieckiej spowodowało znaczący wzrost znaczenia teherańskiej placówki. Miasto, jak i cały obszar ówczesnej Persji, stało się areną zaciętej walki wywiadowczej i propagandowej między sowietami, Brytyjczykami, Niemcami i Polakami. W 1942 roku na teren Persji ewakuowano przeszło 115 tysięcy cywilów i żołnierzy z ZSRR. Przybycie wychodźców spowodowało, że na terenie Persji powstały nowe polskie instytucje, takie jak np. delegatura Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego. Autor nie bez racji zwraca uwagę, że nadmierny wzrost liczby instytucji polskich, prowadził tylko i wyłącznie do sporów kompetencyjnych. Nie dotyczyło to jednak nowo powołanego attachatu wojskowego, którego głównym zadaniem było godne reprezentowanie wojska polskiego wobec władz brytyjskich o perskich. Autor zwraca również uwagę na drugi istotny aspekt jego działalności. Teheran był bowiem doskonałym miejscem obserwacji sytuacji militarnej, politycznej, społecznej i gospodarczej ZSRR. Stało się to szczególnie ważne po zerwaniu przez ZSRR stosunków dyplomatycznych z rządem polskim w Londynie. Wtedy to również nasiliły się ataki propagandowe, skierowane przeciwko polskim władzom ze strony Sowietów. Krzysztof Walaszczyk zwraca uwagę na udział w tej swoistej polsko-sowieckiej wojnie propagandowej, placówki Związku Patriotów Polskich w Teheranie, kierowanej przez Władysława Matwina. Wysiłki Matwina i jego kolegów zakończyły się kompletnym fiaskiem. Dla ludzi, którzy przeszli przez piekło sowieckich obozów, pozostawiając niejednokrotnie na bezkresnych obszarach ZSRR groby swoich bliskich, myśl o jakakolwiek współpracy z sowietami i ich agenturą, za jaką powszechnie uważano ZPP, była nie do przyjęcia. Autor zwraca również uwagę, na fakt, że ewakuacja Armii gen. W. Andersa i jej przybycie na teren Persji w pewien sposób utrudniało prowadzenie proradzieckiej propagandy wśród samych Irańczyków. Widok, biednych, obdartych i schorowanych rzesz uchodźców, znacznie osłabił proradzieckie nastroje w tym kraju. Było to tym bardziej istotne, że władze perskie obawiały się agresywnych zamiarów stalinowskiej Rosji. Ostatecznie polskie placówki zostały zlikwidowane latem 1945 roku, po uznaniu nowego rządu w Warszawie przez mocarstwa zachodnie, zaś przebywający jeszcze w tym kraju Polacy udali się na dalszą tułaczkę. Doświadczenia z pobytu w ZSRR spowodowały, że tylko nieliczni powrócili po wojnie do kraju.

W drugiej części, niniejszej publikacji, została omówiona działalność polskiej placówki w Bagdadzie. W okresie międzywojennym siedziba polskiego poselstwa znajdowała się w Teheranie. Dopiero po wybuchu wojny powstał w Bagdadzie polski konsul, kierowany przez Zygmunta Vetulaniego. Jego głównym zadaniem była obserwacja penetracji politycznej III Rzeszy i ZSRR w Iraku oraz sytuacji wewnętrznej tego kraju. Konsul prowadził też intensywną

działalność propagandową na rzecz sprawy polskiej w środowiskach irackich. Placówka została ostatecznie zlikwidowana z powodów finansowych w marcu 1940 roku. Dopiero w 1943 roku powstało polskie poselstwo w Bagdadzie, kierowane przez Henryka Malhomme, byłego pierwszego sekretarza ambasady polskiej w Berlinie. W przeciwieństwie do sąsiedniej Persji, na terenie Iraku znalazły się tylko oddziały Armii Polskiej na Środkowym Wschodzie. Brak było natomiast uchodźców cywilnych. Sporym kłopotem dla polskich dyplomatów były przejazdy zorganizowanych grup obywateli polskich pochodzenia żydowskiego, udających się do Palestyny. Nie trzeba dodawać, że silne już wtedy nastroje antysemityczne w samym Iraku powodowały wzrost napięcia we wzajemnych stosunkach. Trzeba jednak powiedzieć, że podobnie jak w sąsiedniej Persji i mimo początkowej rezerwy, stosunki z miejscową ludnością ułożyły się bardzo dobrze. Po opuszczeniu Iraku przez oddziały II korpusu w kraju tym pozostały jeszcze nieliczne formacje tyłowe. Działalność polskiej placówki skupiła się wówczas na prowadzeniu akcji na rzecz sprawy polskiej w samym Iraku. Polacy pozostawili tam, jak się wydaje, chyba dobre wspomnienie po sobie. Jak pisze autor, na łamach irackiej prasy bardzo często znajdowały się wzmianki o Polsce i walkach żołnierzy polskich, szczególnie II korpusu, na frontach II wojny światowej. Po cofnięciu uznania rządu polskiego przez mocarstwa zachodnie, także placówka w Iraku przestała istnieć, zaś znajdujący się tam jeszcze Polacy opuścili ten kraj.

W trzeciej, najkrótszej części przedstawiono działalność polskich dyplomatów na terenie Afganistanu. Ten górzysty, pozbawiony bogactw naturalnych kraj podczas II wojny światowej stanowił arenę zaciętej wojny propagandowej i wywiadowczej pomiędzy Brytyjczykami i Polakami z jednej, Niemcami z drugiej i Sowietami z trzeciej strony. Stąd też duże znaczenie istniejącego w Kabulu od 1938 roku polskiego Konsulatu Generalnego. Duże zasługi w prowadzeniu działalności wywiadowczej miał kierujący nim w latach 1940-1945 kpt. Michał Telatycki. Dzięki niemu władze polskie nie tylko otrzymywały informacje o sytuacji społeczno-politycznej i gospodarczej w republikach środkowoazjatyckich ZSRR, ale także w samym Afganistanie. Siatka wywiadowcza, kierowana przez Telatyckiego, oparta o przebywających w tym kraju polskich inżynierach, umożliwiała planowanie przez Brytyjczyków posunięć dyplomatycznych, których celem było zapobieżenie przejściu tego kraju do radzieckiej strefy wpływów. Innym równie ważnym zadaniem polskiej placówki była pomoc Polakom przebywającym w ZSRR, oraz setkom uciekinierów, którzy po zawarciu układu Sikorski-Majski, chcąc jak najszybciej wyrwać się z radzieckiego piekła, nielegalnie przekraczali granicę afgańską. Po przesłuchaniu przez afgańskie władze, byli oni kierowani do polskiego konsulatu w Kabulu a stamtąd do Indii.

Ta interesująca książka niewątpliwie w znaczący sposób poszerza nasze informacje o działalności polskiej dyplomacji na Środkowym Wschodzie w latach II wojny światowej. Autor wykorzystał w pracy akta polskich władz emigracyjnych przechowywane w Instytucie Władysława Sikorskiego, które stanowiły podstawę źródłową niniejszego opracowania. W mniejszym stopniu wykorzystał akta polskiego poselstwa w Teheranie znajdujące się w Archiwum Akt Nowych w Warszawie, papiery profesora Stanisława Kota ze zbiorów Zakładu Historii Ruchu Ludowego, czy papiery generała Władysława Andersa ze zbiorów Instytutu Hoovera w Stanford. Ponadto wykorzystano liczne źródła

drukowane, takie jak pamiętniki, wspomnienia, czy też wydane drukiem protokoły posiedzeń rządu emigracyjnego. W niewielkim stopniu wykorzystano natomiast prasę, co jak się wydaje wynika przede wszystkim z nienajlepszego stanu zachowania poszczególnych tytułów polskich czasopism wydawanych na Środkowym Wschodzie. Należy wyrazić wdzięczność autorowi za napisanie tej książki. Jest to tym bardziej interesujące, w kontekście ponownej obecności wojska polskiego w tym obszarze świata po 11 września 2001 roku. Dlatego sądzę, że nie tylko osoby zainteresowane historią, ale także związane pracą zawodową z tym rejonem Azji powinny sięgnąć po tę książkę.

Tomasz Dudek

- **Stefania Skowron-Markowska, *Z Oksfordu na Syberię. Dziedzictwo naukowe Marii Antoniny Czaplickiej*, Oficyna Wydawnicza „Biblioteka Zesłańca”, Wrocław 2012, s. 294.**

Prezentowana książka opublikowana przez Oficynę Wydawniczą „Biblioteka Zesłańca” wpisuje się w kanon polskiego dziedzictwa naukowego na Syberii dotyczącego obrazu kultury jej autochtonicznych etnosów. W większości obraz ten jest pochodną zesłań Polaków za Ural i takie nazwiska jak Benedykt Dybowski, Józef Kowalewski, Edward Piekarski, Bronisław Piłsudski czy Wacław Sieroszewski zaliczane są do osiągnięć Polaków w zakresie badań języka i kultury tubylczych ludów Syberii. W odniesieniu zaś do dorobku etnograficznego Marii Antoniny Czaplickiej mamy do czynienia nie z zesłańcym, lecz z celowym wyjazdem na Syberię w ramach tzw. jeniejskiej ekspedycji etnograficznej (1914-1915), którą kierowała ona z ramienia brytyjskich środowisk naukowych. Było to przedsięwzięcie wyjątkowo trudne, a jego naukowe echa, pobrzmiewają do dzisiaj w etnologicznej literaturze i nadal przynoszą naręcze pozytywnych opinii.

Narracja książki wiedzie poprzez biografię M. A. Czaplickiej, jej dziedzictwo naukowe i jego recepcję w etnologii. W warstwie fabularnej autorka książki odwołuje się też do emigracyjnej uciążliwości egzystencjalnej swej bohaterki, niespełnionych uczuć i rozczarowań miłosnych, podobnych rozczarowań związanych z oczekiwaniem na stabilność zawodową i chwilę spokoju by móc pracować naukowo. To wszystko wskazuje na poczucie zagubienia, smutku i goryczy, które w istocie doprowadziły ją do dobrowolnego rozstania się z życiem 26 maja 1921 roku. Gdy zamknąłem ostatnie kartki tej książki, powracałem potem jeszcze parokrotnie do niektórych jej stron. I pomyślałem wówczas, że życie M. A. Czaplickiej zasługuje na pełniejszy opis, rzecz można na powieść biograficzną, która z pewnością zainteresuje czytelników. Jednak, kto i kiedy to uczyni?

Grób M. A. Czaplickiej znajduje się na cmentarzu Wolvercote w Oksfordzie, niestety zaniedbany i bez jakiegokolwiek opieki. Mam nadzieję, że te ostatnie zdanie zabrzmi jak Apel skierowany do Ambasady Rzeczypospolitej Polskiej w Wielkiej Brytanii oraz Polskiego Ośrodka Społeczno-Kulturalnego w Londynie by otoczyły opieką jej grób. Czas mija i zaciera ślady, warto to powstrzymać. Sp. Maria Antonina na to bezwzględnie zasługuje!

Antoni Przesmycki